EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 30 kwietnia 1933 R. — NR. 18 (31)

Wieczne niebezpieczeństwo

„Idylla" polityczna

Bohaterowie twórczości

Reportaż z Opieki społecznej

Literatura w Z. S. S. R.

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Wasowski. Czosnowski. Chwistek. Kornacki. Waśniewski. Rogowicz. Czyściecki.

R — Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

BŁOGA NADZIEJA

Zanotujmy rzecz interesującą: *Gazeta Warszawska* jest bardzo zadowolona z wizyty von Papena i Goeringa w Watykanie. Pisze tak:

„Myśląc o wizycie watykańskiej, niepodobna jednak zapomnieć o tem, że pp. von Papen i Goering są ministrami rządu „rewolucji narodowej", że ten ostatni jest jednym z najbliższych doradców Hitlera, że zjawił się zresztą w Watykanie — jak donoszą telegramy — w mundurze hitlerowskim. Fakt, że Ojciec św. przyjął na audjencji reprezentanta nacjonalizmu, ma swoją wymowę".

Jaką wymowę? Zdaniem *Gazety Warszawskiej* audjencja ta ma świadczyć, że Watykan odnosi się życzliwie do najskrajniejszego nacjonalizmu. Czytamy dalej:

„Z tego ostatniego faktu można oczywiście wysnuwać wnioski, dotyczące stosunku Watykanu do Niemiec i do rządu Hitlera. Nie można jednak pominąć go także, jako przejawu, mającego swe znaczenie dla określenia stosunku władz kościelnych do nowoczesnego prądu nacjonalistycznego w Europie i do ruchów narodowych w różnych krajach. Ważnem zaś przy tej okazji jest pamiętanie o tem, że niemasz skrajniejszego nacjonalizmu w Europie i bardziej sięgającego nawet w dziedzinie wiary, jak nacjonalizm niemiecki".

Czytelnik *Gazety Warszawskiej* ma sobie dośpiewać: „w razie czego" nacjonalizm polski może również liczyć na życzliwość Watykanu....

ICH PRZYSZŁOŚĆ

Gdy w r. 1904 Wilhelm II, asystując w Kilonji przy spuszczeniu na wodę nowego pancernika, wyrzekł skrzydlate słówko: „Przyszłość Niemiec na wodzie", dreszcz zaniepokojenia przebiegł całą Europę, a widmo wojny zarysowało się na horyzoncie.

W ogarniętym psychozą megalomanji obozie hitlerowskim, sprawującym dzisiaj rządy w Niemczech, żądza niszczenia i odwetu zabija w zarodku najprymitywniejsze nawet poczucie taktyki i dyplomacji.

Minister Göring a zarazem sprawujący funkcje komisarza Rzeszy dla spraw lotnictwa, dał wywiad do berlińskiego „Localanzeigera", w którym, mówiąc o przyszłych zadaniach lotnictwa niemieckiego, wyraził się:

„Naród niemiecki musi się stać narodem lotników, przyszłość Niemiec jest w powietrzu!"

Gdy w kraju położonym w środku Europy rządy sprawuje nad 60-ma miljonami ludzi banda szaleńców, gdy w rękach tych osobników znajduje się wszystka władza i jej środki — jakże świat może żyć w spokoju?

„WSKUTEK TRAGICZNEGO LOSU"..

W nekrologach ofiar zamordowanych przez bandv tów hitlerowskich spotykamy ten zwrot: „Verstarb infolge eines tragischen Geschickes" (zmarły wskutek tragicznego losu). Nekrologi takie znajdujemy w *Berliner Tageblacie*. Wiadomo powszechnie, co ten dyskretny zwrot oznacza. W ten sposób zawiadomiono o pogrzebie zamordowanych w Berlinie, Siegberta Kindermanna, Maxa Neumanna i innych.

PIĘKNY GEST

Pruska Akademja Nauk powzięła uchwałę, potępiającą genjalnego fizyka, prof. Einsteina, za to, że protestuje przeciw gwałtom i morderstwom hitlerowców. Uczeni pruscy nie po raz pierwszy składają dowód haniebnego służalstwa.

Rząd pruski konfiskuje majątek Einsteina, pruska Akademja Nauk potępia wielkiego uczonego, jednocześnie zaś rząd demokratycznej Francji zaprasza go do słynnego College de France, gdzie otwiera dlań specjalną katedrę fizyki teoretycznej. Francuski minister oświaty, składając w parlamencie wniosek o utworzenie tej katedry, dał uzasadnienie następujące, godne pamięci i uznania:

„W r. 1840 stworzono katedrę języków i literatury słowiańskiej, aby Francja mogła przyjąć Adama Mickiewicza, słynnego poetę, który zyskał sobie miłość Francuzów swoim patrjotyzmem i swojem nieszczęściem. Podobnie teraz ma udzielić katedra fizyki azylu i możności pracy słynnemu niemieckiemu fizykowi, prof. Einsteinowi".

Oto różnica poziomów kulturalnych, a zarazem dobra lekcja, udzielona pruskiej bestji szowinistycznej.

PRZYMUS RELIGIJNY W AUSTRJI

Po czternastu latach istnienia, wydanej w kwietniu 1919 r., ustawy o zniesieniu przymusu nauczania religji w szkołach średnich i powszechnych republiki austrjackiej, przyszedł kres tym wymysłom „masońskim".

Pod wpływem podmuchów wiejących z nad Szprewy, zdecydowano się w Wiedniu na rozpoczęcie stopniowej likwidacji praw i swobód republikańskich. Minister oświaty wydał dekret, którego mocą ustawa z r. 1919 została zawieszona w działaniu, a klerykalizmowi otworzono naoścież wrota w dziedzinie nauczania.

SMUTNY OBRAZ

Czasopismo *News Chronicle* zamieściło cykl artykułów o sytuacji w ośrodkach przemysłowych Anglji. W każdej gałęzi wytwórczości, w górnictwie, w handlu morskim — depresja pogłębia się coraz silniej. Wełna, stal, węgiel nie są już zdolne utrzymać zatrudnionych przy ich eksploatacji i produkcji robotników.

Lancashire przedstawia ponury widok tysiąca zgasłych kominów. Produkcja zamarła. Przemysłowcy sprzedają maszyny tkackie, które nabywają najpoważniejsi dotychczas konkurenci Lancashire'u — Japończycy. Anglicy nauczyli żółtolicych wytwórców swoich metod produkcji, wyszkolili ich personel techniczny w londyńskich szkołach specjalnych, a obecnie — dostarczają im maszyn po zniżonej cenie.

Południowa Walja, której bogactwa kopalniane zatrudniały przed wojną liczne rzesze górników oraz flotę handlową, zdaje się w szybkiem tempie zamierać. Nędza panuje w bogatych kiedyś okolicach — pisze wysłannik „News Chronicle" — a rodziny i dzieci górników nasuwają swym wyglądem myśl o katastrofie żywiołowej, która pozbawiła ludzi codziennego chleba.

Paraliż depresji obezwładnił stalownie Yorkshire'u. Pozbawione dozoru instalacje bliskie są ruiny. Szybko postępujący bezwład obejmuje nawet bezkonkurencyjną dotychczas dziedzinę władztwa Anglji — flotę handlową. Na urządzeniach portowych coraz częściej widnieje napis: „Na sprzedaż", lub „Do odnajęcia".

„News Chronicle" wysuwa projekt osadzania pozbawionych pracy na roli. Posiadanie skrawka ziemi, choć oznacza nędzną wegetację, odsunie od bezrobotnego widmo śmierci głodowej. Pismo wskazuje na zaniedbanie uprawy roli w Anglji. Podczas, gdy we Francji 7 miljonów, a we Włoszech 9 miljonów ludzi uprawia ziemię — Anglja liczy zaledwie 800 tysięcy rolników.

SPOKÓJ CMENTARZA...

W budapeszteńskim dzienniku „Ujsag" pisze publicysta, Sandor Marai, o martwej obojętności inteligencji węgierskiej na wszystko, co nie pachnie sensacją sprawy sądowej. „Dwa, trzy lata przechodzą często, zanim jakaś znana książka zagraniczna dotrze do naszych czytelników; księgarnie odwiedza zrzadka mała garstka ludzi, interesujących się jednak tem, co się dzieje na świecie w polityce, w ekonomji, w nauce, jakie znaczenie mogą mieć dla Europy przewroty w Chinach, w Rosji, jakie skutki pociągnie za sobą triumf hitleryzmu, co zagraża pokojowi? Szaleńcze, obłędne pytania! Kto się tem interesuje? Kogo to obchodzi? Cisza i spokój panuje niepodzielnie na wszystkich ugorach życia duchowego. Cisza i spokój — cmentarna!"

PROSTY SPOSÓB

Komisja Ligi Narodów do walki z handlem żywym towarem ogłosiła nowy tom sprawozdawczy o obecnym stanie handlu kobietami na Dalekim Wschodzie. Najwięcej miejsca zajmuje opis uprawianego jeszcze na szeroką skalę handlu dziewczętami w Chinach, mimo wszelkie w tej mierze zakazy i represje. Handel uprawiany jest często pod maską „służby" lub „adoptowania". Do jakiej potworności dojść może ten proceder, dowodzą liczne, wstrząsające przykłady w sprawozdaniu Komisji przytoczone. Oto pewien handlarz chiński wiózł na swym statku 10 dziewcząt annamickich na sprzedaż. Ścigany przez francuski okręt policyjny i chcąc wyjść cało z opresji, wrzucił do morza wszystkie 10 dziewcząt.

MANJA STATYSTYCZNA

Wystawa „Kobiety" niedawno otwarta w Berlinie, jak wszelkie tego pokroju imprezy, obfituje w mnóstwo tablic, wykresów i danych statystycznych. Informuje np., że 65% dochodu narodowego przechodzi przez ręce kobiet.

Okazuje się, że 4,7 miljona kobiet zamężnych (w tem 34% wdów) musi pracować zarobkowo; że wśród rolników pracuje również 46% członków rodziny, wśród rzemieślników — 23%, wśród robotników fabrycznych 16%.

Dowiadujemy się, że chłopka niemiecka zużywa na przestrzeni 30 lat — 9.600 godzin na targową sprzedaż produktów. Wypieka 23.400 bochenków chleba, wyrabia 224 par pończoch i sztuk odzieży, hoduje 2.800 kur, tuczy 1.800 świń i rodziela im (!) 131.000 porcyj. Można nadal kontynuować tę zabawę w cyfry. Dlatego nie obliczyć, ile razy w ciągu tych 30 lat utarła nosa?

WIECZNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Nie należy się łudzić: w każdem społeczeństwie możliwy jest wybuch zbiorowego bestjalstwa. Ani historyk, ani socjolog nie zdziwi się, że w narodzie, który wydał Kanta, Schillera i Goethego, rządy sprawują Hitler, Goering i von Papen. Żywioł okrucieństwa, zdziczenia i sadyzmu czyha nieustannie na okazję do swobodnego działania. Nieutrzymany na wodzy, nieokiełznany przez siłę fizyczną, spoufalony i podniecony, hula i szaleje, dopóki znowu nie zostanie ujęty w najmocniejsze karby. Nie ginie nigdy, nie zanika, może być tylko przytłumiony. W warunkach sprzyjających budzi się z uśpienia i wówczas demonstruje wszystkie sataniczne pierwiastki natury człowieka, strojąc się niekiedy w argumenty społeczne, narodowe, rasowe i religijne.

W pierwszych latach rewolucji bolszewickiej, kiedy krwawy terror pełnił swoje dzieło na największą skalę, mówiono i pisano w świecie cywilizowanym, że potworności takie nie mogłyby się dziać w żadnem państwie o wyższym, niż w Rosji, poziomie kultury społecznej. Nie uważano wówczas przewrotu komunistycznego za rzecz niemożliwą w innych państwach, ale ilekroć o tej ewentualności była mowa, pocieszano się, że przecież przebieg rewolucji nie byłby tak przerażający, jak tam, w państwie ciemnoty i barbarzyństwa. Powoływano się przytem na inne tradycje, na odmienną psychikę czy łagodniejszy charakter tego, czy innego narodu.

Był to sąd mylny. Pożar jest wszędzie jednakowy. W dziejach każdego narodu odbywały się mniejsze i większe, o dawniejszej albo świeższej dacie epizody, które pouczały o tem, że niema takiej społeczności ludzkiej, gdzie nie drzemałyby instynkty najniższe i gdzie nie mogłyby się powtórzyć sceny najkrańcowszego zdziczenia. Dowiodła tego wojna, dowodzi każda zawierucha społeczna, jak również krótkie, szybko przemijające chwile niepokoju i rozprzężenia. Nadmierny optymizm, poparty przez niewiedzę, lub niepamięć, był powodem, dla którego naprzykład, takie zdumienie wzbudziły kilka lat temu krwawe rozruchy w „pogodnym i łagodnym" Wiedniu, kiedy to tłum podpalił gmach sądu i pilnował, żeby urzędnicy sądowi nie mogli się wydostać z płonącego gmachu. Taki tłum jest wszędzie.

Najpiękniejsze tradycje mogą każdej chwili ulec „zawieszeniu", nie działają z siłą niezmienną we wszelkich warunkach i okolicznościach. Praca kulturalna stuleci nie odniosła nieodwołalnego i niezawodnego zwycięstwa w opanowaniu niskich instynktów, zarówno warstw społeczeństwa oddolnych, jak odgórnych.

Dlatego stało się rzeczą możliwą, że nad narodem niemieckim objął władzę Hitler ze swoją krwawą hordą. Dlatego też udział w akcji tej hordy biorą zarówno żywioły najciemniejsze, jak i ludzie wykształceni. I jednych i drugich miał zapewne na myśli poseł Labour Party, pułkownik Wedgewood, kiedy na słynnem już posiedzeniu angielskiej Izby Gmin powiedział: „Ulicznicy, rządzący w Niemczech, zbezcześcili swoją własną ojczyznę". Ulicznicy w bluzach, w mundurach i we frakach.

Stąd nauka, jak czujne winny być wszelkie posterunki niekłamanej i niepowierzchownej kultury społecznej, jakie wały ochronne budować muszą przeciw nawałnicom — przez czas jakiś utajonego, lecz zawsze do wybuchu zdolnego — barbarzyństwa. W Niemczech rozjuszona hołota, mając zapewnioną bezkarność, nie zatrzymała się nawet przed drzwiami uczonych, lekarzy i obrońców, nad którymi zawisła klątwa pochodzenia, czy wyznania. Mordercy są tam uniewinniani i nagradzani. Kanclerzem jest człowiek, który parę miesięcy temu słał braterskie pozdrowienie do zbójów, skazanych na śmierć za morderstwo, a który teraz domaga się, by nie wierzono, że w Niemczech dzieją się bezprawia. Oto możliwości XX-go stulecia. Oto lekcja poglądowa o tem, że w państwie cywilizowanem, że w narodzie, który do powszechnego dorobku kulturalnego wniósł tyle wielkich i niezatartych wartości, może w sprzyjających warunkach obudzić się, puszczona z uwięzi, wielogłowa bestja ludzka i pokazać, że umie dokonać takiego samego dzieła kulturalnej i moralnej dewastacji, jak i w krajach o poziomie niższym i najniższym.

Nie jest to „nawrót do średniowiecza", jak piszą niektórzy. W Niemczech dzisiejszych świat intelektu i kultury duchowej żyje, pracuje i tworzy nadal, choć w atmosferze potwornej. Hitleryzm nie zabije niemieckiej nauki, literatury i sztuki, nie przekreśli zdobyczy stuleci, nie cofnie życia umysłowego do poziomu średniowiecza. Sfora wściekłych psów wywołuje zawsze popłoch, ale to nie znaczy, żeby wściekły pies mógł zagrozić postępowi świata. Poucza tylko, jak źle się dzieje, kiedy mu się zdejmie obrożę i puści ze smyczy.

Tak, pożar jest wszędzie jednakowy i wściekłe psy są wszędzie jednakowe.

Nie trzeba nigdy przeceniać sił kulturalnych i moralnych żadnego narodu. Strażnicy kultury, obrońcy praworządności i sprawiedliwości społecznej, bojownicy myśli humanitarnej, siewcy postępu, działacze i politycy, przytomni i odpowiedzialni, muszą wzrok i słuch wytężać na wszystkie strony, pomni, że mogą być osaczeni przez żywioł zdziczenia, który w chwili sposobnej ruszyć może na swoją krwawą zabawę ze wszystkich zaułków kultury i cywilizacji.

***

Jeżeli w Polsce działa obóz polityczny, który głosi pochwałę hitleryzmu, to dowód aż nadto wyraźny, że i tu, u nas, jak na całym świecie, mogłyby się odbyć krwawe awantury. To dowód, że i tu, jak wszędzie, z niemniejszą, niż gdzieindziej, „brawurą" pohulałyby sobie bestje ludzkie. Nie myli się *Gazeta Warszawska*, kiedy w pochwalnym dla Hitlera i jego kohorty artykule pisze, że hitlerowcy „zrozumieli, co kryje się na dnie instynktów"... Dobrze to wszyscy rozumiemy. Tylko jedni wysnuwają stąd wniosek, że z owem „dnem" trzeba prowadzić nieustanną i bezlitosną walkę, jak z niebezpieczeństwem zarazy, epidemji i zbiorowej psychozy, drudzy w „dnie" tem widzą całą swą nadzieję, swój kapitał, swój skarb polityczny. Cenną mamy teraz ze strony Obozu Wielkiej Polski deklarację: chwaląc hitleryzm, uświadamia nas, jakby postępował, gdyby objął rządy w Polsce. Wyzwoliłoby się „dno instynktów". Zabrałyby się rodzime hordy do roboty. Nie zabrakłoby nam własnych „uliczników". I znowu, jak wszędzie, najpiękniejsze tradycje Polski i jej najlepsze sugestje moralne nie zapobiegłyby orgji bezprawia i gwałtu.

Świat kultury polskiej winien sobie to niebezpieczeństwo dobrze uprzytomnić.

Józef Wasowski

IDYLLA MALEŃKA TAKA...

Świeżo ukazał się aneks do „Rocznika Międzyparlamentarnego"[1]), zawierający szczegółowe dane o wypadkach, jakie wydarzyły się we wszystkich państwach świata w ciągu roku 1932. Na podstawie tego źródła możemy dokonać zestawienia wszystkich wojen i rewolucji w r. 1932, będących wymowną ilustracją stosunków i stanu umysłów na świecie.

I. Wojny.

1) Wojna japońsko - chińska wypełnia cały rok 1932. Mandżurja staje się państwem niepodległem. Na skutek przyjęcia przez Ligę Narodów sprawozdania Komisji Lyttona, Japonja w marcu r. b. występuje z Ligi.

2) Wojna boliwijsko - paragwajska o terytorjum Chaco. Dn. 1 sierpnia Paragwaj ogłasza mobilizację. Próby arbitrażu zarówno Ligi Narodów, jak i neutralnych republik amerykańskich, pozostają bez skutku. Ofensywa wojsk boliwijskich doprowadza do zajęcia 6 fortów na terytorjum Chaco. Kontrofensywa wojsk paragwajskich odzyskuje te forty do dn. 11 listopada. Liga Narodów rozważa projekt wysłania na miejsce specjalnej komisji na wzór komisji lorda Lyttona, delegowanej do Mandżurji.

3) Wojna kolumbijsko - peruwiańska. Dnia 1-go września grupa cywilnej ludności peruwiańskiej siłą zajmuje miasto Letycję, przyznane Kolumbji traktatem z 1922 r. i położone na pograniczu Peru. Kon-

[1]) *Annuaire Interparlamentaire*, publié sous le patronage de l'Union Interparlamentaire. Supplement 1933. Paris. Delegrave.

flikt wchodzi w najostrzejszą fazę i przenosi się na r. 1933. Liga Narodów usiłuje interwenjować w sensie polubownego załatwienia sprawy.

II. Zerwanie stosunków dyplomatycznych.

1) *Argentyna — Urugwaj.* Dnia 13 lipca Urugwaj zrywa stosunki dyplomatyczne z Argentyną, na skutek wrogiej postawy władz argentyńskich, wobec krążownika „Urugwaj". Konflikt zostaje jednak załagodzony, a stosunki dyplomatyczne po 2 miesiącach podjęte dn. 12 września.

2) *Chiny — Z. S. S. R.* Oficjalne stosunki, zerwane między obu państwami dn. 15 grudnia 1927 r. zostają wznowione dopiero 2 grudnia 1932 r.

3) *Meksyk — Peru.* Dn. 14 maja Peru zrywa stosunki dyplomatyczne z Meksykiem, oskarżając meksykańską misję dyplomatyczną o podsycanie opozycyjnych elementów w Peru. Oba rządy przyjmują pośrednictwo Hiszpanji w załagodzeniu sporu.

III. Wystąpienia z Ligi Narodów.

Dn. 3 grudnia rząd meksykański notyfikuje w Genewie swój zamiar wystąpienia z Ligi Narodów od 1934 r.

IV. Rewolucje.

1) *Albanja.* W r. 1932 władze wpadają na trop spisku, mającego na celu detronizację króla i ogłoszenie republiki. Proces 49 spiskowców zakończył się 16 września. Z pośród oskarżonych 7 skazano na śmierć. Król w drodze łaski zamienił im karę śmierci na dożywotnie ciężkie roboty.

2) *Argentyna.* W lipcu władze wykrywają spisek stronnictwa radykalnego b. prezydenta Irgoyena. W grudniu wykrycie nowego spisku, na którego czele stał pułk. Cattaneo. Rewolucja miała wybuchnąć w całym kraju dn. 30 grudnia. Byli prezydenci Irygoyen i Alvear zostają aresztowani.

3) *Brazylja.* Dyktatorskie rządy prezydenta Vargasa wywołują żywe podniecenie polityczne w kraju. Dn. 10 lipca w San Paulo wybucha rewolucja pod hasłem obalenia rządów wojskowych, przywrócenia konstytucji i przeprowadzenia wyborów. B. prezydent Artur Bernardes zostaje uwięziony. Walki trwają do końca września. Dn. 5 października rewolucja zostaje stłumiona.

4) *Chili.* Dn. 4 czerwca wybucha rewolucja wojskowa. Prezydent Montero zostaje złożony z urzędu. Pułkownik Grove staje na czele ruchu. Dn. 16-go czerwca powstaje bunt w garnizonie w Santiago i obala płk. Grove, który zostaje skazany na wygnanie na wyspę Juan Fernandez. Dn. 6 lipca drogą powietrzną powraca do Santiago b. prezydent Ibanez i powrót jego wywołuje silne zaburzenia. Prowizorycznym prezydentem republiki zostaje Davila, ale już 13 września zmuszony jest do ustąpienia, wobec ponownego wrzenia rewolucyjnego i zostaje zastąpiony przez gen. Blanche. Gen. Blanche musi natychmiast stawiać czoła rebelji wojskowej dowódcy sił lotniczych Benitezowi i po miesiącu walk ustępuje w pierwszych dniach października. Na czele republiki staje Oyanedel i dn. 30 października przeprowadza legalne wybory prezydenta, w których zwycięża Arturo Alessandri, kandydat radykałów.

5) *Costa-Rica.* Prezydentem republiki zostaje dn. 14 lutego Ricardo Jimenez. Stronnicy Manuela Castro Quesada podnoszą bunt w Buena Vista. Wojska rządowe bombardują miasto. Rewolucjoniści kapitulują. Dn. 24 grudnia Costa Rica wypowiada traktat z r. 1923, w którym pięć republik Ameryki Centralnej zobowiązuje się nie uznawać żadnego rządu, który doszedł do władzy drogą rewolucji.

6) *Kuba.* Trwają krwawe walki między rządem dyktatury, a opozycją. Przeciwnicy prezydenta Machado, pułkownicy Mendiela i Mendiez Penate zostają uwięzieni. Gen. Menocal chroni się na terytorjum poselstwa brazylijskiego. Dn. 27 września Vasquer Bello, prezydent Senatu i przywódca liberałów, ginie z ręki skrytobójcy. Tegoż dnia zamordowani zostają Gonzalo i Guilermo Freyere de Andrade, konserwatyści, a Aguiar, osobisty przyjaciel byłego prezydenta Menocala, zostaje śmiertelnie raniony. W całem państwie wprowadzono stan wojenny.

7) *Equator.* Dn. 7 kwietnia Mendoza Vera usiłuje wzniecić rewolucję liberalną przeciw rządom konserwatystów. Rewolta zostaje stłumiona 11 kwietnia. Dn. 19 sierpnia parlament składa z urzędu prezydenta republiki Bomfaza, pod pretekstem, że jest z pochodzenia Peruwiańczykiem, a nie Equatorczykiem i wyznacza zastępcę w osobie Baquerizo Moreno. Stronnicy złożonego Bomfaza podnoszą rebelję w Quito. Dn. 29 sierpnia wojska rządowe szturmem zdobywają stolicę. Pod naciskiem korpusu dyplomatycznego następuje rozejm, poczem prowizorycznym prezydentem zostaje Albornoz. Już we wrześniu jednak wybuchają nowe zamieszki. Bonifaz, przywódca opozycji, chroni się na terytorjum poselstwa St. Zjednoczonych, a prezydentem republiki zostaje Martinez. W październiku wykryty zostaje spisek wojskowy, na którego czele stał minister wojny Sotomayor Luna. Przywódcę aresztowano. Dn. 31-go października przeprowadzono legalne wybory na prezydenta. Został nim Juan D. Martiner Mera.

8) *Hiszpanja.* Dn. 10 sierpnia żywioły monarchistyczne usiłują obalić rząd republikański. Zamach stanu nie udaje się. Dn. 17 sierpnia parlament uchwala wywłaszczenie bez odszkodowania dóbr osób zamieszanych w spisku monarchistycznym.

9) *Honduras.* W czerwcu powstaje zbrojny zatarg między nacjonalistami, popierającymi kandydaturę gen. Cariasa na prezydenta, a wojskami rządowemi. Nowa rewolta wybucha w listopadzie, wzniecona przez stronników Angela Zuniga Huete, kandydata liberałów, który przepadł w wyborach na prezydenta.

10) *Peru.* Dn. 6 marca prezydent Sanchez Cerro pada ofiarą zamachu stronnika Haya de la Torre. Zostaje ogłoszony stan wojenny na dni 30. Rząd usuwa swych przeciwników z parlamentu (radykałów). Dn. 7 maja wybucha bunt na dwóch krążownikach, dn. 8 maja Uniwersytet w San Marcos zostaje zamknięty. Przywódcy buntu na krążownikach skazani są na śmierć. Dn. 7 lipca rewolta komunistyczna wybucha w Trupillo. Stan wojenny zostaje wznowiony. Dn. 10 lipca wojska rządowe po krwawych walkach odzyskują miasto. Wyrokiem sądu wojennego 102 uczestników rewolty zostaje skazanych na śmierć.

11) *Sjam.* Do czerwca 1932 r. Sjam był ostatnim państwem absolutystycznem. W czerwcu wybuchła w wojsku i flocie rewolucja, która położyła kres rządom książąt. Dn. 27 czerwca król podpisał konstytucję.

Oto krótki bilans wojen, wystąpień z Ligi Narodów, rewolucyj i zamachów stanów w jednym tylko roku 1932.

St. Czosnowski

BOHATEROWIE TWÓRCZOŚCI

Kiedy przed paru laty obudziła się we mnie świadomość, że powinienem wystąpić do walki o odrodzenie naszej kultury duchowej, przeżywaliśmy okres deprymującego spłycenia. Nie było jeszcze wówczas mowy o kryzysie. Pieniędzy było dosyć. Raz po raz słyszało się o tłustych stypendjach zagranicznych dla literatów i poetów, o wielkich zamówieniach rządowych dla malarzy i architektów i o fantastycznych gażach aktorów. Ale nikt nie śmiał twierdzić, że nasza kultura duchowa stoi na wysokim poziomie. Zdawało się raczej, że duch czasów saskich zaczął odradzać się i plenić z przerażającą szybkością. Kult pieniędzy i użycia zamknięty dotąd w wytwornych willach karjerowiczów, napiętnowanych znamieniem handlarzy duchowym towarem, zaczął przeciskać się do zaułków, będących schronieniem pracowników, życiu duchowemu oddanych. Typ bohatera, poświęcającego wszystkie swoje siły pracy twórczej, bez względu na zarobek i nawet bez względu na uznanie społeczeństwa, zaczął gwałtownie zanikać. Ludzie zaczęli tracić wiarę w wysiłki bezinteresowne i jęli zastanawiać się poważnie nad modnem wówczas amerykańskiem hasłem: „Miarą wszystkich rzeczy jest pieniądz". Nazwisko tego nowoczesnego pseudo-Heraklita, który wynalazł tę tragiczną zasadę, jest mi nieznane, zapamiętałem jednak nazwiska tych przedstawicieli wyżyn duchowych Polski, którzy głosili ją całkiem poważnie.

Próby przeciwstawienia się tej filozofji tłumione były lekceważącym uśmiechem, a nieraz zgoła cynicznemi drwinami. Typ badacza samodzielnego, myśliciela, poświęcającego długie lata wytężonej pracy nad rozwikłaniem zagadek, niepokojących jego umysł, uznany został jednogłośnie za strzęp bezużyteczny. W najlepszym razie decydował się ktoś na zamknięcie takich ludzi w osobnych instytucjach, zastrzegając się wyraźnie przed dopuszczeniem ich do wpływu na młodzież. Wpływ ten posiadać mieli pedagogowie, t. zn. ludzie nic z twórczością nie mający wspólnego, i przykrojeni do przeciętnego poziomu. Wydawać się mogło, że przeznaczenie uwzięło się na nasz naród, żeby na wieki głupota i bezmyślność odnosiła w nim zwycięstwo nad siłą ducha. Wydawało się, że niema siły, która potrafi nas uchronić od zamienienia się w sparszywiałą, zatęchłą prowincję, której jedyną troską jest napełnienie brzucha i zabicie czasu w sposób bezmyślny.

Zastanawiając się nad grozą położenia i szukając sposobów obrony, przyszedłem do przekonania, że niema mowy o deprawacji narodu polskiego. Zrozumiałem, że chodzi tu o panoszącą się, nieliczną grupę arywistów, która głośnym krzykiem chce zamaskować własną słabość i zastraszyć rodzącą się opozycję. Jąłem spoglądać głębiej i zobaczyłem, że naród nasz posiada zwarte szeregi ludzi młodych, uzdolnionych niezwykle, umiejących pracować i znosić przeciwieństwa losu. Trzeba tylko obudzić w tych ludziach wiarę we własne siły. Trzeba tylko odsłonić przed nimi mechanizm kłamstwa, narzucanego przez cynicznych handlarzy towarem ducha. Kryzys ekonomiczny, który sprowadził tyle niedoli, okazał się przynajmniej pod tym względem użyteczny. Czar złotego cielca prysnął, handel towarem duchowym przestał się opłacać, a jego przedstawiciele, jak przystało na ludzi interesu, uderzyli w bezwstydny lament i narzekanie, oskarżając społeczeństwo o obojętność wobec spraw sztuki i nauki i skarżąc się na upadek autorytetu wartości idealnych. Poczciwcy, nie spostrzegli, że społeczeństwo kpi z nich całkiem otwarcie, bo doskonale pamięta, co mówili i pisali niedawno i wie, że chodzi im tylko o pieniądze.

Każdy, kto zaznajomił się choćby powierzchownie z rozwojem kultury, wie, że polega on na nieustannej walce pomiędzy twórcami a handlarzami towarem duchowym. Nie mam zamiaru zapuszczać się tutaj w metafizyczne dociekania nad istotą twórczości i postępu. Może być, że wszystko to sprowadza się do walki o byt i do najniższych naszych instynktów. Trzeba pamiętać jednak, że choćby nawet miłość matki do dziecka była tylko innym gatunkiem rządzącego światem egoizmu, to niemniej taki egoizm byłby czemś zupełnie odmiennem od tego egoizmu, który każe rodzicom zaniedbywać własne dzieci, a myśleć wyłącznie o osobistej wygodzie i użyciu. — Podobnie, choćby dało się udowodnić, że poświęcenie całego życia pracy dla zrealizowania fantastycznych napozór pomysłów naukowych czy artystycznych jest tylko zamaskowaną formą walki o byt materjalny, to i tak taka forma walki musiałaby być odróżniona stanowczo od powtarzania w nieskończoność wyświechtanych szablonów, połączonego z organizowaniem sugestji, że nic innego zrobić się nie da, albo, że szukanie czegoś innego jest społecznie niebezpieczne.

Biada społeczeństwu, które ten ostatni sposób patrzenia na sprawy życia duchowego identyfikuje z poszanowaniem tradycji. Niestety zawsze była u nas i jest do dzisiaj bardzo silna grupa autorytetów, która stara się nam narzucić to właśnie stanowisko. Będąc sceptykami w życiu i folgując aż nazbyt jawnie naszym chwilowym zachciankom, strzegliśmy zbyt namiętnie i strzeżemy do dzisiaj zbyt często przesądów kulturalnych i nonsensów, uświęconych tradycją.

Sprawy kryterjów twórczości na wyżynach nie są łatwe do zrozumienia i nie można ich załatwiać przy pomocy trywialnych argumentów, jak to czyni się u nas. Nie można pozwolić na decydowanie w tych sprawach ludziom, którzy nie tylko nie próbowali myśli swoich jasno sformułować, ale nawet nie zadali sobie trudu przestudjowania sumiennego tego, co napisali inni. Jest faktem powszechnie znanym, że żadna wielka idea nie zdołała zwyciężyć bez zaciętej walki i bez licznych ofiar. Wiemy doskonale, że wielcy twórcy byli często przez swoich ziomków lekceważeni, a pomysły ich były realizowane później, przez innych ludzi i inne środowiska. Działo się to na nasze nieszczęście zbyt często w naszej historji. Wiadomo, że nie umieliśmy zrozumieć wielkiego odkrycia Kopernika i że nowożytna nauka, która zrodziła się z niego, rozwinęła się daleko poza granicami naszej ojczyzny.

Nie było u nas nawet walki o system kopernikański tak właśnie, jakgdyby sprawa ta nic z nami wspólnego nie miała. Walka o polskość Kopernika wszczęta po rozbiorach i prowadzona przez naród, pozbawiony wszelkiego kulturalnego autorytetu, była oczywiście spóźniona i budzić musiała jedynie uśmiech politowania.

Załatwiliśmy się zbyt gwałtownie i zbyt radykalnie z naszym ruchem arjańskim, przeszliśmy zbyt łatwo do porządku nad nowożytnym teatrem, stworzonym przez naszych wielkich poetów. Strzegliśmy zbyt pilnie, żeby nic nowego nie zdarzyło się na naszej ziemi i w ten sposób staliśmy się pośmiewiskiem i wzgardą narodów europejskich, jeszcze przedtem, zanim ciemięzcy położyli nam rękę na karku.

Ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z niedoli, zrodzonej z naszej własnej głupoty, nigdy u nas nie brakło. Nigdy jednak nie byli oni na tyle silni, żeby przeciwstawić się gwałtownie panoszącej się bezmyślności. Co gorsza, nie dostawało im zbyt często wytrwałości i zaciętej, nieubłaganej wiary we własne posłannictwo. Trudno tu mówić o obliczeniach statystycznych, ale każdy z nas przypomni sobie z łatwością, jak wielką poznał liczbę Polaków, którzy zmarnowali się przez przedwczesną rezygnację.

Odnosi się to zarówno do tych, których los wyniósł na wysokie stanowiska, jak i do tych, którzy zostali zepchnięci na dno niedoli i nędzy. Pierwsi zbyt szybko osiedli na laurach, drudzy zbyt gwałtownie rzucili się w ramiona rozpaczy. I jedni i drudzy stali się w końcu zazdrosnymi stróżami istniejącego stanu rzeczy, zwalczającymi namiętnie wszelkie ambitne próby postępu.

Jest rzeczą godną uwagi, że obie wymienione grupy obrońców kulturalnego zastoju wykazują niezwykły tupet i zapał do walki z oryginalną twórczością, godny zaiste lepszej sprawy. — Do tego celu wszystkie środki są dobre. Niema takiego głupstwa i takiego kłamstwa, którego nie potrafiliby się chwycić. Nie wystarczy walka osobista, prowadzona z bezwzględnym cynizmem i dzikością. Tworzy się całe teorje społeczne, całe systemy frazesów, żeby tylko odebrać innym zapał do pracy i samemu zostać na placu. Tak n. p. głosi się, że malarstwo sztalugowe stało się przeżytkiem, bo nikt obrazów nie chce kupować. Głosi się taką zasadę, nie wiadomo w jakim celu, bo przecież cóż to komu szkodzić może, że są w Polsce malarze, którzy pragną malować mimo to, że nikt ich obrazów nie kupuje, a ci, którzy malują na sprzedaż, napewno i tak wezmą się do innej roboty.

A potem nie trzeba przecież zapominać, że tu nie chodzi o fabrykację pasty do butów, ani przyprawy do rosołu. Nie trzeba zapominać, że, jeśli w tej chwili znajduje się na naszej ziemi choćby jeden oryginalny artysta, który wnosi elementy istotnie nowe do sztuki europejskiej, to żaden historyk kultury nie ośmieli się twierdzić, że nasze czasy były okresem zupełnego upadku i zastoju. — A gdyby nawet handel obrazami prosperował doskonale, to i tak nie byłby to powód do nazwania naszych czasów okresem rozkwitu, gdybyśmy nie umieli wznieść się ponad poziom przeciętny.

Z chwilą, kiedy defetystyczne formuły przestają działać, z chwilą, kiedy zerwie się do lotu jakiś śmiałek, nieskrępowany tradycją i wierzący we własne posłannictwo, podnosi się krzyk namiętny, taki właśnie, jak gdyby chodziło o wojnę, głód, mór i inne klęski elementarne.

Doszło do tego, że krzyk ten przygłusza u nas wszelkie pomysły, dążące do reformy społecznej i do walki z konwencjonalizmem tradycyjnym. Wyłamanie się choćby bardzo nieśmiałe z obowiązującego kodeksu, identyfikowane jest z łobuzerstwem i tępione z całą bezwzględnością. Polscy poeci i artyści muszą trzymać się za wszelką cenę złotego środka, który zawsze był modny i takim pozostanie na wieki. Zapomina się, że ten sam Horacy, który wygłaszał pochwały złotego środka, pozwalał sobie na bardzo niedwuznaczny erotyzm, który pod piórem polskiego autora byłby uznany za dowód cynizmu i deprawacji. W imię fetysza złotego środka zabijamy nasze rwące się do życia talenty, a zaczytujemy się w sekrecie skandaliczną literaturą zagraniczną, wyszukując po wypożyczalniach książki skonfiskowane, lub powszechnie uznane za nieprzyzwoite.

Sztuki plastyczne dławimy w imię trywialnego naturalizmu, który znudził nam się tak bardzo, że nawet udawać nie potrafimy, że bierzemy go serjo, a malarstwo wyobrażeniowe, zawierające niezmierne możliwości i będące zaledwie w zarodku, odrzucamy bez namysłu, jako coś szkodliwego i niebezpiecznego.

U ogółu napewno niema złej woli. Jest tylko nieuzasadniona obawa, zasugestjonowana przez cynicznych augurów.

Zjawiska, bardzo podobne występują we wszystkich społeczeństwach. Różnica polega tylko na tem, że gdzieindziej wywiązuje się walka zawzięta i zapładniająca, u nas natomiast przewaga przedstawicieli bierności jest druzgocząca i wszelkie próby oporu dławione są w zarodku. Jeśli tak jest, to jest to w znacznej części skutkiem naszego braku wytrwałości i wiary w wielką misję kulturalną naszego narodu. Zdolni jesteśmy tylko do pierwszego wysiłku. Nieraz udało nam się wedrzeć na stromy szczyt oryginalnej twórczości, kosztem olbrzymich trudów i ofiar bardzo ciężkich.

Nigdy, niestety, albo prawie nigdy nie umieliśmy zrozumieć, że za tym pierwszym szczytem znajduje się tak właśnie, jak w XXIV pieśni dantejskiego Inferna, szczyt drugi, o wiele wyższy i że na ten szczyt drugi właśnie wspinać się potrzeba.

Zbyt silnie działa na nas duch ciężkości i zbyt łatwo osiadamy na laurach. Zbyt łatwo zrażamy się niepowodzeniem i zbyt łatwo ustępujemy z placu boju, pozostając na resztę życia malkontentami, zbijającymi bąki i przyczyniającymi się przez niewczesny pesymizm do umocnienia stanowiska naszych przeciwników. Jest to więcej, niż smutne.

Jest w tem nieopisana groza przekleństwa, które zdaje się ciążyć na naszym narodzie, niszcząc i tępiąc najszlachetniejsze nasze porywy, żebyśmy pozostali na wieki narodem drugiej klasy, importującym z Zachodu myśl twórczą i zakutym w kajdany niewoli duchowej.

Jeśli ludzie naprawdę na los swój zasługują, jeśli są naprawdę podrzędni i nieporadni, to los ten i tak budzić u nas może współczucie i odruch wyzwolenia. Ale jeśli widzimy, że właściwie wszystko jest w porządku, a tylko przez jakieś niedopatrzenie, przez jakiś grymas, czy błąd w rozumowaniu, z wielkich zamierzeń i możliwości rodzi się beznadziejna niedola i trwoga, to wtedy ogarnia nas wściekłość, wtedy radzibyśmy rzucić się w wir walki namiętnej i ostatniej, i raczej zginąć, niż przeżywać hańbę odtrącenia i poniżenia.

Mam przekonanie, że jesteśmy w przededniu tego szlachetnego odruchu. Tęsknota za samodzielnością duchową zaczyna występować coraz jaskrawiej w naszej młodej literaturze i sztuce.

Wbrew temu, co sądzą o młodzieży zdziwaczali chwalcy przedwojennego austrjackiego liberalizmu, pruskiego drylu i carskiego nieumytego wykwintu, wierzę głęboko w możliwości twórcze młodego pokolenia. Jako pedagog, miałem sposobność poznać szerokie rzesze młodych ludzi i wiem, że znajdują się wśród nich jednostki nietylko zdolne niesamowicie, nietylko pomysłowe i twórcze, ale także uparte i zawzięte, zdolne przetrzymać nietylko niepowodzenie i niedostatek, ale także moralny nacisk głosicieli zniechęcenia i depresji. Mógłby ktoś zauważyć, że żądać bohaterstwa jest łatwo, ale trudno jest być bohaterem. Zaiste, żądać bohaterstwa od tchórzów i matołów, byłoby poprostu błazeństwem, ale żądać bohaterstwa od bohaterów, jest rzeczą naturalną i konieczną. Trzeba żądać go od nich, trzeba głośno krzyczeć, że to jest rzecz najważniejsza i najpotrzebniejsza, bo inaczej perswazje zawalidrogów gotowe ich zdeprawować, odebrać im wiarę w ich posłannictwo i zepchnąć ich na wieki na dno koryta, w którem sami żyją.

Trzeba powtarzać im ciągle: nie lękajcie się głodu i nędzy, patrzcie spokojnie nawet na to, że wasi bardziej obrotni, a nic z prawdziwą twórczością wspólnego nie mający koledzy, zabierają wam posady i wybijają się taniemi metodami. Idźcie naprzód z bezwzględnym uporem i odwagą. Idźcie naprzód, nie dbając o zapłatę dlatego tylko, żeby zrodziła się na ziemi wielka odwaga i bezwzględna potęga twórczości.

Fatti non foste, a viver come brutti
Ma per seguir virtute e conscienza.

Prof. Leon Chwistek

ODGŁOSY

NIETYLKO W LITERATURZE...

Edward Herriot, były premjer francuski, opowiada na łamach jednego z tygodników paryskich — zdarzenie, które żywo przypomina znaną sztukę Rostanda: „Człowiek, którego zabiłem".

29 sierpnia 1914 roku zaginął w zagadkowych okolicznościach Henryk P., brygadjer regimentu konnych strzelców. Oddział, na czele którego wyruszył na zwiady, wrócił bez dowódcy. Wszelkie poszukiwania i próby ustalenia, czy Henryk P. został pojmany do niewoli — nie dały wyniku. W rejestrze urzędu dla spraw jeńców wojennych nie odnaleziono nazwiska zaginionego.

Małe miasteczko Burgundji, skąd pochodził Henryk P., (w którem ciasno ściśnięte domy zdają się wzajemnie śledzić, a omawianie spraw bliźnich było jedną z nielicznych rozrywek towarzyskich) — otoczyło osobę zaginionego legendą, tajemniczą i bohaterską.

Edward Herriot, jako mer Lyonu, utworzył wówczas urząd poszukiwania zaginionych bez wieści żołnierzy. Ustalono wtedy, że brygadjer Henryk P. został pochowany na terenie gminy Saint-Remy. Urząd zawiadomił rodzinę. Grób znajdował się w otwartem polu. Na prostym, drewnianym krzyżu wyryte było w języku niemieckim, miejsce pochodzenia i nazwisko zmarłego. Wieśniacy miejscowi odtworzyli wypadki, które rozegrały się dn. 29 sierpnia. Widzieli pędzącego przez pole jeźdźca. Słyszeli ostrą strzelaninę, w trakcie której jeździec został śmiertelnie ugodzony. Feldfebel, który dowodził pościgiem niemieckim, poznał w zabitym — przyjaciela. Niemcy pochowali zmarłego z oznakami czci wojskowej.

W marcu 1932 r. sprawa Henryka P. otrzymała niespodzianie ciąg dalszy. Niejaki Otton za pośrednictwem konsulatu niemieckiego nadesłał rodzinie Henryka P. kilka fotografji, listów i inne drobiazgi, które były własnością zmarłego. Załączył pismo, w którem szczegółowo opowiada przebieg wypadków w nocy 29 sierpnia 1914. Henryk P. padł od jego kuli.

Otton pisze dosłownie: „Obecność przy śmierci tego Francuza ujawniła przedemną całkowitą bezmyślność i okrucieństwo wojny. Czem zawinił tu młodzieniec o jasno-niebieskiem spojrzeniu, by zginąć tak bezsensowną śmiercią?"

Koniec listu brzmi: „Nienawidzę wojny. Zabiła spokój mego życia. Przed wzrok mój wraca ciągle obraz błękitnych, gasnących oczu Francuza. W pamięci utkwił jego przedśmiertny, niezrozumiały dla mnie szept. Dlaczego musiałem stać się mordercą? Czuję winę, której nic do końca życia nie odkupi".

Sztuce Rostanda zarzucano melodramatyczność i przesunięcie zagadnienia mordu wojennego na niewłaściwy tor. Autorzy tych zarzutów dowodzili, że wojna — jako zabójstwo masowe — nie zna odpowiedzialności *jednostki* za popełniony czyn. Historja Niemca Ottona, opowiedziana przez Edwarda Herriot'a, dowodzi, że tragedja „Człowieka — który zabił"... nosi znamię życiowej prawdy.

APEL DO MINISTRA OŚWIATY

W Nr. 6 tygodnika „Odsiecz Wileńska", Antoni Miller wydrukował artykuł p. t. „Wznowienie pamięci o wielkim pedagogu i myślicielu". Jak widać ukazanie się „Psychologji religji", wywołało nie tylko pożytek naukowy, który wnosi książka J. Wł. Dawida, nie tylko poruszyło sumienie społeczne, które dziś reaguje po latach na krzywdy, wyrządzone tej wzniosłej postaci, przysypanej popiołami milczenia, ale budzi nadto falę wspomnień serdecznych z czasów wczesnej młodości wśród wszystkich współbojowników ś. p. J. Wł. Dawida.

Odpowiednią i wyczerpującą ocenę „Psychologji religji", oraz biografji J. Wł. Dawida, napisanej przez Henryka Lukreca, dał już w Nr. 17 „Epoki" Józef Węgliński, do rzeczy tej więc już nie powracamy. Zwracając jednakże uwagę na ciekawe i żywe wspomnienia Antoniego Millera, zacytować tylko pragniemy końcowe zdania artykułu:

„Psychologja religji", pilnie strzeżona przez ucznia Dawida i świadka jego dni ostatnich, p. Henryka Lukreca, wyszła przy pomocy nauczycielstwa polskiego. Obyż to wielkiej wartości dzieło przypomniało o dawnych pracach pedagogicznych Dawida, tak cenionych w Niemczech i Polsce".

„My — nauczyciele starej daty — jesteśmy wszyscy z ducha Dawida — tego prawdziwego polskiego Pestalozziego wieku XX.

„Niech mi wolno będzie na tem miejscu zwrócić się do Pana Ministra Oświaty z gorącą prośbą poparcia wszystkich prac Dawida, — przez zasilenie niemi bibljotek szkolnych. Dla nauczycieli szkół po-

wszechnych i średnich dzieła Dawida muszą się stać ich vade mecum".

Nie należy wątpić, że pod apelem powyższym podpiszą się nie tylko dawni współbojownicy J. Wł. Dawida, ale i wszyscy inni z pod tego znaku żyjący pisarze, jak również i całe nauczycielstwo polskie.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

„CI LUDZIE"

Obecne przesilenie gospodarcze i związane z niem bezrobocie wniosło dotychczas do skarbnicy literatury polskiej dwa dzieła o wartości nieprzemijającej: — ogłoszone niedawno drukiem Pamiętniki bezrobotnych i ostatni tom Heleny Boguszewskiej („Ci Ludzie", Tow. Wyd. „Rój", Warszawa 1933).

Ukazanie się na rynku księgarskim pamiętników pisanych przez bezrobotnych, wytworzyło szczególną sytuację, — oto anonimowi, niefachowi autorzy stworzyli tak artystyczny dokument swej niedoli, że czytając tę książkę, trudno było wyobrazić sobie, by zawodowy literat, piszący o bezrobociu, mógł zdobyć się na coś równie mocnego, bezpośredniego, nasilonego tak wstrząsającą autentycznością. Wobec artystycznej prawdy tych opowieści, jakże blado przedstawiały się możliwości sztuki w tej dziedzinie!... Literackie próby Władysława Rymkiewicza („Eksmisja") i Artura Prędskiego („Błachowski Zredukowany"), próby zresztą ciekawe i niewątpliwie pożyteczne dla sprawy „uspołecznienia społeczeństwa", nie wniosły przecież żadnych trwałych wartości, któreby można przeciwstawić pamiętnikom bezrobotnych anonimów. Wskutek tego wzmogła się jeszcze, popularna śród literackich smakoszów, opinja, że powieść o bezrobociu nie przedstawia już „interesu", gdyż co było do powiedzenia, wypowiedzieli w swych pamiętnikach sami bezrobotni i stworzyli epos non plus ultra... Pojawienie się ostatniego tomu Boguszewskiej obaliło tę opinję.

Powiadają o Wyczółkowskim, że i w oku i w ręku ma genjalny nerw i że tym nerwem chwyta naturę na „gorącym uczynku". Świat okoliczny nie „pozuje" wielkiemu malarzowi, lecz mistrz podgląda świat i, zakochany w dziewiczej samotności przyrody, wyczarowuje właśnie jej samotność, szkicuje niepochwytną treść, emanującą z każdej istoty w tych jedynie chwilach, kiedy dana istota sądzi, że jest sama, że jej nikt nie widzi. „Ci ludzie" Boguszewskiej — to takie właśnie podglądnięte portrety przedmieścia, podglądnięty rozkładowy proces bezrobocia i nędza przychwycona „na gorącym uczynku". Anonimowi autorzy pamiętników skarżą się i spowiadają, filozofują i złorzeczą, ale nie widzą tego, co Boguszewska dostrzega, — nie widzą samych siebie, — swych twarzy, spojrzeń, gestów, — nie widzą swego życia z ubocza, nie widzą, jak ich własna nędza wygląda w oczach innego człowieka, takiego właśnie, który cierpi od tej nędzy nie swojej, widzianej tylko, a przecie jakże bliskiej sercu!...

Rodzaj talentu Boguszewskiej sprawia, iż książkę jej uważać należy za równie autentyczny dokument naszych czasów, jak i pamiętniki pisane przez bezrobotnych. Proces tworzenia tej znakomitej autorki nie polega na budowaniu zarówno akcji powieściowej, jak i poszczególnych postaci z cegieł wyobraźni. Boguszewska nie pisała również swej powieści według planu zrodzonego z przesłanek socjalno - tendencyjnych, natomiast podstawowem źródłem „Tych Ludzi" jest obserwacja i to tak artystyczna, że niemal naukowa. Ubóstwo motywów fantazji i brak zgóry powziętego planu daje się zaobserwować przedewszystkiem w konstrukcji, która nie jest literacka, lecz „życiowa". W książce tej sprawy ludzkie dzieją się tak, jak w życiu, — napozór przygodnie, a przecież z nieubłaganą życiową konsekwencją. Metodą krótkich fragmentarycznych obrazków, nieco przypominającą sposób montowania książki „Manhattan Transfer" Dos Passos'a, ukazuje Boguszewska powolny i kapryśny proces przenikania bezrobocia w mały światek ludzi jednego z przedmieść warszawskich.

Ludzki materjał nader różnolity, — wnętrze willi bogatego przemysłowca, „pani kresowa" i jej córka-urzędniczka, drobni rzemieślnicy, robotnicy, służba odmowa, dzieci bogate i biedne... Ludzi tych łączy albo wspólna przygodna znajomość sąsiedzka, albo też to, że jeden dla drugiego reperuje buty, pierze, posługuje, służy, — stąd też spotkania wzajemne, rozmowy, nowinki i tym podobne fragmenty zwyczajnej codzienności. Chociaż opisana świetnie, nie przedstawiałaby jednak ta codzienność szczególnego „interesu" dla czytelnika, gdyby nie fakt, że gdzieś z poza niej, jak z za widnokręgu, zwolna i opieszale, a przecież groźnie i złowrogo chmury wypełzają na niebo i zawisają nad domkami przedmieścia.

Te chmury — to bezrobocie, — mają one kształt sieci i sprawnie, umiejętnie łapią ludzi, — po jednemu, po dwóch, — odrywają od warsztatu pracy, a potem męczą. Mężczyzn zazwyczaj ogłuszają apatją, a w kobietach rozpalają niepokój, dodają sił, ale sił smutnych, rozpaczliwych, przedśmiertnych... Po mistrzowsku szkicuje Boguszewska kobiecą walkę o byt, ich energję ofiarną, ich zupełne wyzucie się z potrzeb własnych, byle wszystko dla dzieci, dla braci, dla męża. Wspaniałym dokumentem naszych czasów są postacie: — Jabłońskiej, Bronci, Nowakowej. Z niwy naszej codzienności zerwała autorka szare i blade, a jakże tragiczne, jakże wstrząsające „kwiatki" — Anielcię zredukowaną i uduszoną przez „narzeczonego", służącą Genię.

Książka Heleny Boguszewskiej daleko odbiega od popularnego dziś żerowania przeróżnych „społecznych" pięknoduchów na egzotyzmie nędzy i jest owocem nietylko świetnego talentu, lecz przedewszystkiem życia śród „tych ludzi".

Jerzy Kornacki

Znany oszczerca, paszkwilant i klown dziennikarstwa polskiego zajmuje się „Epoką" bardzo gorliwie. A my, jak ten „obraz", co to „ani słowa"... O polemice z tego rodzaju figurą nie może być mowy. Przez brak odpowiedzi z naszej strony część opinji publicznej może być jego oszczerstwami wprowadzona w błąd. Trudno! Wolimy to, niż zniżać się do dyskusji z nim. Dziesiątki lat pracował na to, żeby polemikę z nim uważać za niegodzącą się ze smakiem moralnym.

LITERATURA W Z. S. S. R.

Ilość książek o Sowietach urosła już do rozmiarów poważnej bibljoteki. Możemy już sobie wyrobić sąd o postępującem uprzemysłowieniu Rosji, o życiu i kłopotach codziennych obywatela państwa proletarjackiego i t. d. Natomiast dziedzinie literackiej poświęcono stosunkowo mało uwagi. Lukę tę wypełnił Stanisław Baczyński, dając czytelnikowi polskiemu świetną książkę p. t. „Literatura w Z.S.S.R." *).

Baczyński jest zbyt znanym i cenionym krytykiem, aby tu podkreślać oryginalność jego sądów i precyzyjność myśli. Wróg i tępiciel wszelkiego frazesu i mglistych, oderwanych pojęć — zwolennik teorji, że każda społeczno - polityczna epoka ma swoje własne kryterja piękna, nie wtłacza on jednak swych sądów w ciasne ramy szkoły materjalistycznej. Jeśli mimochodem rozprawi się z przestarzałemi teorjami impresjonistów, lub zaatakuje zwolenników tłumaczenia zjawisk literackich jedynie odrębnością psychiki narodowo - rasowej, to nie zapomni dodać, że i esteci - marksiści ujmują zagadnienie sztuki zbyt ciasno.

Uznając epokę kapitalistyczną w jej obecnem stadjum za zamierającą, Baczyński jest przekonany, że dopiero nowy ustrój wyda wielką i wspaniałą literaturę. Nie znaczy to bynajmniej, żeby w dzisiejszej sowieckiej literaturze dostrzegł już znamiona wielkości. Cywilizacja (słowem tem określa kulturę materjalną) zmieniać się bowiem może w ciągu kilku lat, kultura rozwija się przez wymieranie pokoleń. Do literatury proletarjackiej wszedł inteligent przedwojenny z całym bagażem dawnych pojęć i nawyków estetycznych, skutkiem czego zmieniła się w Rosji jedynie tematyka. Forma literacka pozostała ta sama, a więc o rewolucji w dziedzinie literatury i sztuki nie może być jeszcze mowy.

Wobec znacznego udziału inteligencji przedwojennej i tradycjonalizmu formy w literaturze sowieckiej, Baczyński w pierwszej części swej książki daje nadzwyczaj zwarty, ale przejrzysty obraz rosyjskiej literatury przedwojennej. Wyjaśnienie jej oryginalności specyficznemi warunkami rosyjskiego życia społeczno - politycznego w XIX w. świadczy o niezwykłej wnikliwości i zdolnościach syntetycznych autora.

Zagadnienia, tematy i cała ideologja dawnej literatury rosyjskiej skończyły się właściwie z chwilą wybuchu rewolucji. Do Rosji wtargnęło nowe życie, zmieniło dawne warunki bytu, a co za tem idzie, wytworzyło inne nastawienie uczuciowo-psychiczne. Jak zareagowali na to literaci, rozpatruje autor w rozdziałach następnych, gdzie, stosując metodę porównawczą, uwypukla przełamywanie się starych i rodzenie nowych tematów, zagadnień i motywów literackich. Najważniejszym z nich — jak: zbrodni, miłości, kobiecie, małżeństwu, rewolucji — poświęca specjalne rozdziały.

Szersza publiczność najbardziej zainteresuje się częścią książki p. t. „Kultura proletarjacka", poświęconą w całości zagadnieniom i charakterystyce bieżącej literatury sowieckiej.

Baczyński oczekuje od proletarjatu nowej kultury, która przewyższy kulturę mieszczańską. Będzie to w rezultacie kultura ponadklasowa i wyrośnie z kolektywnej pracy, nic tedy dziwnego, że dotychczasowa burżuazyjna, jako wykwitła z pracy indywidualno-chałupniczej, wyda się przy niej ubogą i scherlałą. Zastanawiając się nad tem, co w Rosji uczyniono dla przyszłej literatury, dochodzi do wniosków naogół pesymistycznych. Pisarze dotychczasowi nawet w osobach najoryginalniej zapowiadających się twórców (Pilniak) właściwie nie zerwali w dziedzinie formy z tradycją. Teoretycy zaś i pionierzy nowej sztuki przeciwstawiają obrazowości ścisłość, a symbolice prawdę żywego człowieka. Jako fanatyczni wielbiciele faktu i zdarzeń dnia codziennego, uważają, że gazeta ścienna jest nową formą literacką kolektywu, a typem nowego pisarza korespondent wiejski lub fabryczny.

Baczyński polemizuje z temi wywodami. Potrzebę faktu i wiedzy zaspakaja według niego historja i nauka. Literatura ma swoją własną dziedzinę „i będzie literaturą faktu, gdy sama zacznie fakty stwarzać według swego planu". Dopatruje się jej przyszłego rozwoju w nowej organizacji pracy literackiej i zapotrzebowania sztuki przez społeczeństwo, a dotychczasową twórczość sowiecką uważa za przejściową.

Wywody ostatniej części książki zaznajamiają czytelnika z poglądami estetycznemi samego autora. Poglądy te są nawskroś oryginalne, wyrażone dobitnie, zwięźle i dostarczają dużo materjału do myślenia. W ten sposób książka przekracza ramy tytułu: „Literatura w Z. S. S. R.", a staje się ważkim przyczynkiem do nowej estetyki, powstającej nietylko w Rosji.

J. Waśniewski

*) *Stanisław Baczyński:* Literatura w Z.S.S.R. Wydawnictwo Literacko Naukowe. Warszawa — Kraków 1932 r.

KSIĄŻKA „OLIMPIJSKA"

Znakomity stylista, znawca i miłośnik starożytnej Hellady, Jan Parandowski, autor „Aspazji", „Erosa na Olimpie" i przepięknej niedawnej książki o Grecji, „Dwie wiosny", powziął myśl szczęśliwą i wysoce aktualną dziś, w epoce wskrzeszeń w zmodernizowanym stylu antycznych igrzysk olimpijskich: odtworzyć w wizji poety i wytrawnego hellenisty autentyczną grecką Olimpjadę. Nikt bardziej od autora „Dwóch wiosen", nie mógł być do tego powołany. Ostatnia jego książka „Dysk olimpijski", która w formie powieściowej jest artystycznem studjum sportu w starożytnej Grecji, poza pięknem opisów w ewolucji kolebki kultury humanistycznej, zawiera mnóstwo ciekawego materjału dla dzisiejszych sportowców (tych oczywiście, w których kurczenie mięśni nie zabiło doszczętnie inteligencji i wyobraźni). Techniczna strona igrzysk, fachowa — nawet drobiazgowo fachowa w tem historycznem odtwo-

„Epoka" jest posterunkiem ideowym, który służy najwznioślejszym hasłom naszych czasów.

rzeniu panhelleńskich uroczystości narodowych — bo tem w najgłębszej swej treści były Olimpjady — zajmuje w „Dysku" bardzo dużo miejsca. Książka ta powinna się też znaleźć w bibljotece każdego klubu sportowego, jako unikat i dokument genezy zawodów olimpijskich (o ile kluby sportowe posiadają bibljoteki z czemś więcej, niż z podręcznikami treningu).

Miłośnikom stylu i języka „Dysk olimpijski" da wiele estetycznego zadowolenia, bo piękno prozy Parandowskiego występuje tu w całym blasku i tężyźnie. Dla przykładu weźmy sam początek „moestusa" — skąd czytelnik dowiaduje się, czem były dla antycznego świata helleńskiego, dla idei zjednoczenia i zgody szczepów greckich, Olimpjady. Proszę posłuchać: „W nieporównanej czystości ateńskiego poranku głos spondofora brzmiał pięknym tonem. Trębacz miejski wygładził przed nim ciszę tłumów, które o pierwszym świcie zwołał. Jasny czworobok rynku zabierał bezszelestnie zapowiedź wielkiego święta.

„W trzecią pełnię po przesileniu letnim, w elejskim miesiącu Parthenias, Olimpja przyjmie zawodników i gości. Stanąć do igrzysk ma prawo każdy Grek, wolno urodzony, nie splamiony zabójstwem, nie obciążony klątwą bogów. I wszystek świat powinien być wolny od zbrodni, bez zmazy krwi, nie zakłócony zgiełkiem broni, a najbardziej ziemia elejska i święty gaj Dzeusa, i czas i miejsce igrzysk. Pokój boży.

„Stare wyrazy, jeszcze dostojniejsze w rozlewnej wymowie kapłana olimpijskiego, po raz siedemdziesiąty szósty powtarzały święte przymierze, które w brzasku dziejów zawarli i na spiżowym dysku spisali królowie historji, wczesnej jak legenda: Sfitos z Elidy, Kleosthenes z Pisy i Likurgos ze Sparty. W pamięci słuchających wiły się ostre litery napisu, który biegnie po kręgu spiżowym, od krańca do środka, jak wąż, boski wizerunek wieczności. Od trzech stuleci tym samym głosem woła Olimpjada, co cztery lata wdziera się świetlistą pręgą stadjonu między Gniew i Spór, wytrąca miecze i przy jednym ołtarzu trzyma wrogów bezbronnych. Od dwunastu pokoleń odmierza swój czas niebieskiemi znakami, liczy księżyce i zawsze tą jedyną pełnią, czarą mistyczną, zaprzysięga pokój".

„Dysk olimpijski" dzieli się na dwie części: „W gimnazjonie" i „Olimpja". Gimnazjon, to teren przygotowawczy dla zawodników, miejsce treningu. Tu ćwiczą się wszystkie odmiany zawodników: biegacze, pięściarze, uczestnicy pięcioboju, dyskobole, miotacze oszczepów, skoczkowie. A nauczyciel — trener przy tych ćwiczeniach ćwiczy ich rózgą za każdy błąd czy niedokładność, po nagich, namaszczonych oliwą plecach. Trening przepisowy na tych boiskach, przysposabiających do udziału w Olimpjadzie, trwa 10 miesięcy. Życie w gimnazjonie, od strony psychologicznej ma takie same cechy, jakie widzielibyśmy dzisiaj, gdyby istniała podobna instytucja międzynarodowa. Tam była panhelleńska, czyli powszechno-grecka, lecz rywalizacja między przedstawicielami poszczególnych miast i krajów Grecji była nie mniejsza niż dziś między reprezentacjami olimpijskiemi różnych narodów świata. I tam były głuche lub głośne zawiści, intrygi, próby sabotażu lub przekupienia przeciwnika: natura ludzka nie zmienia się tak szybko, jak narzędzia pracy czy walki o pierwszeństwo. To odsłonięcie przez autora w realistycznych obrazach kulis greckiej Olimpjady nadaje jego książce wartość i historyczną i socjologiczną, a zarazem czyni z tych scen z przed półtrzecia tysiąca lat żywe, zrozumiałe dla człowieka współczesnego widowisko.

Strona odświętna, oficjalna, paradna tych uroczystości, oczywiście musiała nosić piętno obrzędowe pogańskiego świata, była silnie zabarwiona kultem religijnym. Parandowski, dla uwypuklenia swej olimpijskiej ryciny, nie pominął tego pierwiastka i dał szereg scen składania ofiar bogom Hellady; z nich siłą ekspresji na czoło wysuwa się scena zaprzysiężenia zawodników, z poprzedzającem ją zabiciem dzika na ofiarę, ku czci Dzeusa - Hortiosa, patrona przysięgi.

Dzisiejszych sportowców zainteresuje, że słynny rzut dyskiem olimpijczyka Fayllosa wynosił 95 stóp, czyli mniej więcej 32 metry, — tak mocno pobity przez rekord olimpijski polskiej dyskobolki Konopackiej. A może ironicznie powitają słowa mistrza-trenera, t. zw. „hellenodika", Hysmona, który strofując któregoś z biegaczy mówił, że sama szybkość nie wystarcza, zwierzęta ją posiadają w wyższym stopniu, napewno nikt nie sprosta nogom jelenia. Jeden tylko człowiek może uczynić z biegu dzieło sztuki. Powinien w każdym momencie wyglądać tak, żeby nagle przemieniony w kamień, objawił się w całem pięknie postawy, ruchu, twarzy wolnej od skurczu.

„Dysk olimpijski" kończy epilog, gdzie autor daje niezmiernie ciekawy, jako anologja z życiem dzisiejszego sportu, obraz przeobrażeń, którym z biegiem czasu i w samej ojczyźnie olimpjad uległo greckie życie sportowe. Potworzyli się i tam, z obywateli, uprawiających kult tężyzny fizycznej i piękna ciała, sportowcy — zawodnicy, „spece" od dyska, oszczepu, boksu, długich i krótkich dystansów, osobniki specjalnie hodowane, pielęgnowane, grubo zarabiające i ordynarnie zarozumiałe, nie jak dawniej tylko wieńczeni wawrzynem olimpijskim zwycięzcy. Stworzono tysiące pozorów, mówi autor, aby im ułatwić życie między surową cnotą a pięknemi dochodami. Naród, który pół wieku temu składał się poniekąd z samych zawodników, w którym każdy obywatel, nieupośledzony kalectwem, był gotów podjąć jakąkolwiek walkę na stadjonie i zachowywał tę zdolność aż do progu starości, zrzekł się nagle tych ambicyj na korzyść garstki wybranych. Ale... jednocześnie „dość rychło nauczono się łączyć podziw dla zawodowych agonistów z pogardą. Każdy uznawał, że niepodobna im sprostać, ale nikt nie chciał być do nich podobny. Szanująca się młodzież nie marzyła o wieńcach, chyba o tych, które można zdobyć, puszczając własne konie na wyścigach". Alcybiades w młodzieńczym wieku przesiadywał w stajni. Tu i owdzie

Otrzymujemy od czytelników „Epoki" coraz więcej listów w różnych sprawach ideowych. Cenimy bardzo tę korespondencję. Często też bierzemy pod baczną uwagę wyrażone w listach tych poglądy, uwagi i wskazówki. W ten właśnie sposób tworzy się żywy i serdeczny kontakt pomiędzy pismem ideowem a czytelnikami.

w ustronnych dzielnicach istniały jeszcze Gimnazjony, ożywione dawnym duchem i wychodzili z nich zawodnicy dobrej woli. Powszechnie jednak sport skurczył się do ćwiczeń gimnastycznych i zabaw ruchowych dla dorastającej młodzieży, albo w swej pospolitej formie służył do wyszkolenia żołnierza.

Cicero, jadąc do Grecji, miał nadzieję zobaczyć tam posągi chodzące po ulicach i zdziwił się, jak bardzo niewielu ludzi w Atenach mogło się poszczycić prawdziwą urodą. Oswojono się z widokiem bladej cery, zgarbionych pleców, wąskiej klatki piersiowej, cienkich nóg, obwisłego brzucha, ze wszelkiemi kształtami przygasłej ludzkości, uwięzionej w wielkich miastach i ciemnych domach.

Karty, omawiające zwyrodnienie życia sportowego dawnej Grecji, Grecji przed wiekiem Peryklesa, bogatym i świetnym, ale już mającym w sobie zarodki rychłego rozkładu tężyzny helleńskiej, wiążąc się ze współczesnemi zagadnieniami sportu, jako czynnika społeczno - wychowawczego, należą do najważniejszych bodaj w pięknej książce Parandowskiego.

Wacław Rogowicz

Z ZA BIURKA REFERENTA OPIEKI SPOŁECZNEJ

1. JA, ONI I BUDŻET

Przeczytajcie sobie kiedy ustawę o opiece społecznej. To bardzo piękna ustawa. Znajdziecie ją w „Dzienniku Ustaw" z roku 1923. Nr. 92, pozycja 726. Jeżeli poezja jest oderwaniem się od rzeczywistości, pięknem marzeniem, huśtaniem się w sferze wyobraźni, — to ustawa ta jest poezją.

A potem przyjedźcie do miasteczka Wszędowa, które liczy, powiedzmy, 25 tysięcy mieszkańców i leży w każdem województwie i w każdym powiecie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej — i popatrzcie, posłuchajcie jak ja tam urzęduję. Ja — referent opieki społecznej.

Leży na mojem biurku książeczka, zawierająca ową piękną ustawę, oraz wydane do niej, równie piękne, rozporządzenia wykonawcze. A oprócz tego leży jeszcze budżet miasta Wszędowa, w którym w dziale IX-ym znajdziecie następujące pozycje: leczenie chorych ubogich — 2000 zł., zapomogi doraźne — 4000 zł., utrzymanie sierot, podrzutków i starców — 2600 zł.

**
*

Czekają na mnie w korytarzu godzinami i boją się wejść do biura. Dziewczyna z dwojgiem dzieci, ślepy robotnik, chora na gruźlicę praczka i stary, głuchoniemy żebrak. Przez biuro przewijają się dziesiątki interesantów, — tych w innych sprawach, — i zawsze, przy każdem wejściu i wyjściu, przez moment otwarcia drzwi rzucają się na mnie błagalne, podchlebne i badawcze spojrzenia tych z korytarza. Oni wiedzą, że jestem zły, że nie daję, że krzyczę i odprawiam ich z kwitkiem. Znają doskonale moją psychologję, mój upór, twarde, kamienne serce. Nie mają dla mnie przebaczenia, bo trudno jest przebaczać człowiekowi, który nie chce zrobić takiego głupstwa, jakiem jest napisanie kartki, zaczynającej się od słów „Kasa Miejska wypłaci tytułem zapomogi...". Wiedzą, że rozmowa ze mną jest dla nich przykra i upokarzająca. Wiedzą o mnie bardzo dużo. O jednem tylko nie wiedzą. Że na biurku, wśród spiętrzonego stosu papierów, leży budżet miasta Wszędowa.

**
*

Gdy drzwi są zamknięte, rozmawiają ze sobą na korytarzu, a nawet śmieją się. O zgrozo, śmieją się! Zdają sobie jednak sprawę z tego, że to „bezczelność", bo oto, gdy nagle zjawię się na korytarzu, milkną natychmiast. Praczka zanosi się odrazu ciężkim kaszlem, niewidomy robotnik tragicznie kokietuje ruinami oczu, żebrak gwałtownie wypina swój garb, a dziewczyna — nagle narodzony wyraz wstydliwego smutku uzupełnia gestem macierzyństwa, tulącego do łona głodne dzieci. A one też już umieją kłamać i krygować się w żebraczych pozach. Tylko oczy ich nie proszą, — bo właśnie w tej chwili zostały olśnione cudem wiecznego pióra, które trzymam w ręku.

Prymitywni aktorzy! Znam was lepiej, niż wy mnie. Codzień słyszę, że od trzech dni nie mieliście w ustach kawałka chleba, który wam głupawo wygląda z pod chustki lub palta, że od miesiąca leży obłożnie chora wasza żona lub córka, którą przed chwilą widziałem biegnącą przez ulicę, że ukradli wam ostatnie pieniądze, których wogóle wcale nie mieliście, że nie macie butów, które zostawiliście na schodach pod opieką towarzysza nędzy. Ja wiem, że wy tak musicie mówić, bo przecież na tych klawiszach od wieków wygrywa się melodję litości, poskromicielkę krzywdy społecznej.

Narazie jeszcze musicie prosić. Uniżenie, z wyrazem psiej pokory w oczach. Nie możecie żądać tego, co wam się od społeczeństwa należy. Nie możecie.

Tak jak ja nie mogę przekroczyć budżetu miasta Wszędowa.

2. SZLACHCIC JÓZEF MISZCZEK

Wyczerpał zasiłek z Funduszu Bezrobocia i przeszedł na opiekę społeczną. Ma żonę, którą, gdy jest pijany, bije i kilkoro dzieci. Jest trochę anormalny umysłowo, — był nawet przez pewien czas w Kobierzynie, — ale uważany jest za dobrego robotnika. Traktuje pracę jak sport. Chce zawsze być pierwszy, chce pobić rekord: podnieść największy ciężar, najprędzej naładować wózek. Tyle zapału za głupie 3 zł. dziennie. Niechby jednak te trzy złote, ale niema roboty. Może będzie przy budowie szkoły, tylko narazie roboty wstrzymane, bo Ministerstwo nie wypłaciło subwencji. (Przecież wiecie, Miszczek, że teraz jest trudno o pieniądze).

O 10-ej rano wydałem mu asygnatę na 5 zł. — Tylko zanieście to żonie i żeby wam wystarczyło na cały miesiąc, bo prędzej nie dostaniecie. Trudno, gmina też niema pieniędzy.

Koło południa Miszczek znowu się zjawił u mnie w biurze.

— Panie referencie, dajcie jeszcze 5 złotych.

— Co? Zwarjowaliście chyba!

Słowa te ozdobiłem spojrzeniem tak pełnem oburzenia, że Miszczek pośpiesznie wycofał się na korytarz. Co mu się, do cholery, stało? — pomyślałem. Żeby w jednym dniu dwa razy po zapomogę?!

Ale Miszczek przyszedł jeszcze trzeci raz. Już był zupełnie „gotowy". Plątał mu się język i nogi.

— Panie referencie, rany Boskie, musi pan, jak Boga kocham, żeby nie wiem co, musi pan referent, bo nie wyjdę aż do skonania, te 5 zł., jak pragnę Boga.

— Idźcie spać, Miszczek.

— Nie pójdę, jak nie dostanę. Te 5 złotych to dla pana g...., panie referencie, a ja, rany boskie, muszę, panie referencie, żebym tak trupem padł.

— Pijany jesteście, Miszczek.

— No, pijany, czy mówię, że nie, panie referencie. Ale te 5 złotych...

— Na co? — ryknąłem.

— No, powiem, jak Boga kocham, sumiennie, żebym tak jutra nie doczekał, powiem, no, niech szlak trafi, prawdę powiem: na oblanie, panie referencie.

— Co?!!!

— Dzisiaj są moje imieniny, jak pragnę nieba. Muszę się opić, panie referencie. Mówię do pana jak do mężczyzny. No, moje imieniny. Pan rozumi, no, pan też na imieniny, rany boskie, no, czy pan nie popił na imieniny? Jak Boga kocham, panie referencie, przecież pan jest mężczyzną. Te 5 złotych...

— Panie Miszczek, — powiedziałem dostojnie, — opuścić natychmiast biuro, bo policję zawołam.

— Mam gdzieś policję! — ryknął Miszczek i wyrżnął czapką o podłogę. Szlachcic jestem!

Nie było innej rady. Wyszedłem do drugiego pokoju i zatelefonowałem do straży miejskiej, żeby przysłali po Miszczka dwóch ludzi. Nie mogłem przecież dopuścić do dalszych awantur w biurze.

Miszczek tymczasem uspokoił się i zaczął do mnie z sercem:

— Pan jest morowy, jak Boga kocham, panie referencie. Też szlachcic. My szlachta, panie referencie, no, ręka w rękę.

Ściskał mi serdecznie dłoń i już miał się rozpłakać z nadmiaru wzruszenia i miłości, gdy we drzwiach ukazali się funkcjonarjusze straży.

W mgnieniu oka zrzucił z siebie palto i stanął w pozycji bojowej. Załzawione rozczuleniem oczy momentalnie roziskrzyły się wściekłością. Z ust razem ze śliną zaczęły bryzgać słowa:

— Wy parobki gminne, kogo chcecie ruszać, kogo?! Precz z moich oczu, bo zabiję! Jak pragnę nieba, zabiję!

Strażnicy rzucili się na Miszczka. Rozpoczęła się szarpanina, w czasie której Miszczek z niezrównaną szybkością wyrzucał z siebie przekleństwa, przedziwnie niesubtelne, a równocześnie w bogactwie swem wspaniałe.

Żal mi się zrobiło Miszczka. (Poco przypomniał te moje imieniny?) Tak zepsuć mu ten jego dzień. Ten rzadki dzień, w którym zapomniał o nędzy i bezrobociu. Ale co robić, co robić?

Nagle, walczący resztkami sił Miszczek, krzyknął:

— Panie referencie, parobki gminne mordują szlachcica, pańskiego brata, a pan stoi, jak... na weselu?!

Kazałem strażnikom puścić Miszczka i wyjść na korytarz. Wyszli, dysząc ciężko, ścigani sforą wyzwisk. Miszczek wyciągnął do mnie rękę, a gdy podałem mu swoją, nagle mnie w nią pocałował.

— Co pan robi, panie Miszczek? Jakto, szlachcic i całuje pan w rękę?

— Równy równego, to mi wolno. Szanuję pana, tylko tych ..... synów niech pan odeśle, bo, jak pragnę nieba, zamorduję.

— No, to daj pan szlacheckie słowo, że pójdziesz pan sam, spokojnie, do domu, spać.

Miszczek huknął w stół pięścią:

— Żebym tak nagle trupem padł, pójdę, panie referencie. Jak pragnę lekkiej śmierci, pójdę.

I poszedł. Kazałem strażnikom obserwować go zdaleka i — o ile tylko rażąco nie naruszy spokoju publicznego — nie aresztować. Poszedł na Rynek, gdzie przez kilka godzin siedział sobie pod pomnikiem i nucił dyskretnie wojskowe piosenki.

Miszczek nie dotrzymał słowa. Nie poszedł do domu.

Ale to dobrze. Bo przecież nie wypada, aby szlachcic Józef Miszczek bił popijanemu żonę i dzieci.

3. TO TRZECIE

Z jednem dzieckiem jakoś tam sobie dawała radę. Ze służby ją wprawdzie wyrzucili, ale miała posługi, brała do domu pranie, a i on czasami dał jej z tygodniówki parę złotych. Potem jednak się pokłócili, zresztą wzięli go do wojska, skąd już do Wszędowa nie wrócił. Gdy Manowskiej radziłem, żeby go zaskarżyć o alimenta, wymawiała się, że nie zna jego adresu.

Drugi narzeczony też miał się z nią żenić, zanim to jednak uczynił, Manowska miała do wyżywienia już dwie gęby. Przyszła do mnie z płaczem, żeby jej coś poradzić, bo posługi się skończyły, prania też coraz mniej dostaje, a narzeczony jest bez roboty. Oczywiście płacz mnie nie wzruszył. Każda z nich płacze. Tak musi być. Ale wkońcu po długich targach dałem jej dziesięć złotych z zaznaczeniem, że to pierwszy i ostatni raz. Niech sobie coś poszuka i niech więcej nie przychodzi. Nie szczędziłem jej również wzniosłych nauk moralnych, że jak się niema za co dzieci wychować, to nie trzeba się o nie starać, że jak już miała jedno, to ją to powinno nauczyć rozumu i t. d. Naturalnie, co robić, żeby nie mieć dzieci, — tego Manowskiej nikt we Wszędowie nie mógł powiedzieć. Można jej było zalecić tylko jedno bardzo proste, cholernie proste, wyjście: żyć w czystości. Tak dalece jednak bezczelny nie byłem.

Od tej pory Manowska stała się niemal codziennym gościem gminy. Nie zrażała się mojemi odmowami. Wiedziała, że dziesięć razy odmówię, a za jedenastym dam. Była bardzo opanowana i powściągliwa w swej natarczywości. Poprostu stała w milczeniu tak długo, aż zniecierpliwiony nie dałem jej czegoś dla odczepnego. Przynajmniej kartkę na 2 kilo chleba.Próbowałem jej tłumaczyć, że nie mogę jej dawać więcej, niż innym, że to nie odemnie zależy, że burmistrz nie chce podpisywać asygnat. Manowska pozostawała głucha na te argumenty i obalała wszystkie moje wywody jednostajnem: — Panie sekretarzu, dzieciom nie mam co dać jeść.

Starałem się znaleźć jej jakąś pracę, ale kto weźmie dziewczynę z dwojgiem dzieci? Czasami tu i ówdzie Manowska wyszorowała schody, to znowu jakiś czas zmywała naczynie w restauracji, wszystko to jednak nie wystarczało. Żeby chociaż nie kochała tak swoich dzieci, to może przynajmniej jedno, — bo było bardzo ładne, — ktośby wziął za swoje, ale Manowska dziecka nie oddałaby za żadne skarby. Gdy chwilowo na skutek moich nalegań jedno dziecko wzięła do siebie matka narzeczonego, Manowska już po kilku dniach zabrała je z powrotem. „Bo mu się tam krzywda działa".

Raz Manowska przyszła do mnie z dzieciakami. Mały, na ręku, jak to mały, — mętna zapowiedź przyszłego człowieka, ale ten większy chłopyś ze złotemi włoskami podbił mnie odrazu. Manowska wlot zorjentowała się w mojej wrażliwości na wdzięki jej syna i już stale przychodziła z tym rozkosznym brzdącem. Ona stała, jak zwykle, cicho i pokornie, a mały tarabanił się do biura i beztroskim głosem, w którym nie było ani cienia prośby, wołał:

— Kartkę dać, bo jestem głodny!

Na tem się kończyło jego kłamstwo, bo po wypowiedzeniu tych nauczonych przez matkę słów, śmiał się i pętał po biurze, oglądając dziwy szafki z książkami, fotela, biurka, pieczątek i kolorowych ołówków. Nie był głodny i nie będzie nigdy głodny, dopóki będzie żyć Manowska.

Niejednokrotnie wyrzucałem Manowską z biura. Tak. Za to, że nie chciała, aby jej dzieci były głodne, wyrzucałem ją. Co miałem robić?

— Niech Manowska idzie do domu, bo dzisiaj nic z tego nie będzie. A dziecka nie uczcie kłamać i żebrać.

— Panie sekretarzu, dajcie mi pracę, to więcej tu nie przyjdę.

— Niech Manowska wyjdzie z biura, bo nie mam czasu. Szkoda gadać. Już 10 złotych w tym miesiącu dostaliście.

A po dłuższej pauzie dodawałem:

— Czy jeszcze raz mam powtarzać Manowskiej, żeby opuściła biuro.

— Panie sekretarzu, dzieciom nie mam co dać jeść.

Mały przypomniał sobie wtedy nagle o swych obowiązkach i ni stąd ni zowąd wykrzykiwał radośnie:

— Dać kartkę, bo jestem głodny!

Całą rozmowę zaczynaliśmy wtedy od początku. Upór nędzy walczył z uporem urzędnika. Ten ostatni zwyciężał i Manowska wychodziła ze swem najwięcej mnie denerwującem:

— Panie sekretarzu, dajcie pracę, to więcej nie przyjdę.

I rzeczywiście coś się stało, że przez kilka miesięcy nie przychodziła. Znalazła pracę. Myślałem, że już uwolniłem się nazawsze od tej najnieznośniejszej z pupilek, aż oto pewnego dnia przyszła znowu. Opatuchana w grubą chustkę z tym starszym ładnym chłopakiem na ręku.

— Panie sekretarzu, wyrzucili mnie ze służby, dzieciom nie mam co dać jeść.

— Zaraz pogadamy, ale poco tego konia dźwigacie na ręku?

Manowska zmieszała się i po namyśle wyjąkała:

— Bo jest chory.

— No to trzeba było go w domu zostawić.

— Kiedy nie mam przy kim.

— No, a małe gdzieście zostawili?

Manowska czerwona, jak burak, preparowała w ustach jakieś kłamstwo, wreszcie zrezygnowana postawiła śmiejącego się i zdrowego, jak ryba, chłopaka na podłodze.

Zrozumiałem. Była znowu w daleko posuniętej ciąży.

Załamanemi rękami podparłem głupie, bezcelowe pytanie:

— Manowska, Manowska, potrzebne wam jeszcze to trzecie?

(c. d. n.) *Józef Czyściecki*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Jednolity front przeciw faszyzmowi — oto hasło dnia wśród ugrupowań demokratycznych na Zachodzie, hasło, dawno wysuwane, ale obecnie dopiero po klęsce demokracji w Niemczech, nabierające właściwej wartości.

Jak rozmaicie można tę sprawę rozumieć, najlepszym przykładem być mogą różne spory na ten temat, rozgrywające się obecnie we Francji, która dotychczas stanowi, jak to mówił niedawno premjer Daladier w Izbie Deputowanych „ostatni okop wolności". Jest w tem twierdzeniu trochę przesady, ale, powiedzmy, usprawiedliwionej. W tym oto więc „ostatnim okopie" toczą się teraz żywe spory, jak osiągnąć najskuteczniejsze efekty w walce z ogólno-światowym faszyzmem.

Wybitny, ale bardzo indywidualnie usposobiony radykał francuski, Gaston Bergéry, który niedawno opuścił szeregi partji radykałów, rozmyśla na ten temat na łamach prowincjonalnej gazety „*Mantes Republicain*": „Faszyzm, to najwyższa forma obrony ustroju kapitalistycznego. Przez długi czas ustrój ten uważał za możliwe pozostawiać bezkarnie władzę polityczną w rękach głosowania powszechnego. Ten okres już mija. Napróżno niektórzy łudzą się nadzieją, że zwalczą faszyzm z pomocą tych, którzy dążą do zachowania kapitalizmu. Ten błąd popełnił „Reichsbanner", łącząc żywioły proletarjackie z frakcjami burżuazji liberalnej. Burżuazja liberalna napewno woli parlamentaryzm od faszyzmu; ale w dniu, kiedy niema wyboru pomiędzy temi dwoma, kiedy trzeba wybierać pomiędzy ryzykiem rewolucji proletarjackiej i ryzykiem dyktatury faszystowskiej, w tym dniu można obserwować z nieuchronną fatalnością, jak burżuazja liberalna swoje materjalne interesy klasowe stawia ponad swemi zamiłowaniami demokratycznemi. Z wyjątkiem niektórych indywidualności woli ona swój safes, swoje dywidendy i swoje przywileje od swojej wolności".

Stąd wniosek p. Bergery'ego: dla walki z faszyzmem trzeba łączyć wszystkich poza burżuazją liberalną, wszystkich tych, których łączy interes przeciw kapitalizmowi. Siły te, to — przedewszystkiem klasa pracująca robotnicza, następnie rolnicy, ci, którzy posiadają tylko pozory własności, ponieważ są ofiarami wyzysku, tylko w innym momencie produkcji, niż robotnik. Ten ostatni pada ofiarą już „na piętrze produkcji", a rolnik na następnem „piętrze wymiany".

Gdyby p. Bergery ograniczył się w swojej koncepcji do tych dwu sił socjalnych, wywody jego nie różniłyby się właściwie od koncepcji prawowiernego stalinowca. Ale p. Bergery jest zdania, że tych dwuch sił za mało: trzeba mieć za sobą jeszcze czynniki korpusu techników, trzeba mieć także w obozie zjednoczonym pracowników — poważną warstwę drobnej burżuazji sproletaryzowanej, lub znajdującej się na drodze do proletaryzacji.

Przez wysunięcie takiej koncepcji, trafia p. Bergery w samo sedno sporu, który toczył się na kongresie nadzwyczajnym socjalistów francuskich w Avignon podczas świąt Wielkiejnocy. Jeszcze przed kongresem na zgromadzeniu publicznem p. Leon Blum wskazywał, że gdyby partja komunistyczna w Sowietach nie doprowadziła do rozbicia jednolitego frontu proletarjackiego, wogóle nie istniałoby zagadnienie, przed którem dziś stoi klasa robotnicza w całym świecie.

A to rozbicie cóż ma innego u źródła swego, jeżeli właśnie nie wyłączenie z jednolitego frontu drobnej proletaryzują-

cej się burżuazji i inteligencji, o którą upomina się Bergery. Socjaliści francuscy nie rozstrzygnęli zagadnienia ani zasadniczo, ani nawet dla siebie, zadawalniając się formułą, która znowu dla jednych oznaczać będzie poparcie rządu p. Daladier'a w imię obrony przed wszechświatowym faszyzmem, a dla innych odmówienie tego poparcia, aby nie znaleźć się w roli zahukanych i zniewolonych przez wypadki socjalistów niemieckich.

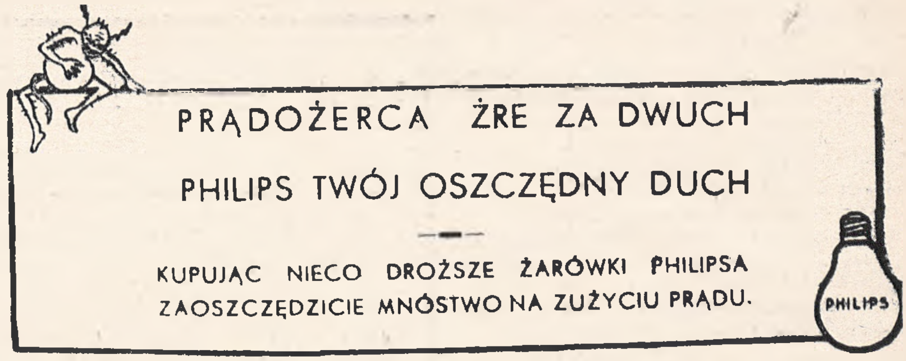
Jedno trzeba przyznać, że przeciwnicy liberalizmu i demokracji, stronnicy gwałtu i przemocy czują się nawzajem przez skórę i ciągną do siebie poprzez granice i poprzez przedziałki partyjne. Rozczulające zachwyty polskiej Demokracji Narodowej dla hitleryzmu z jednej strony, a czułe uznanie czasopisma *„Przełom"* dla „Obozu Wielkiej Polski" z drugiej strony — oto symptomatyczne wiele mówiące i jaskrawe objawy tego międzypartyjnego i międzynarodowego obozu — kultu dla siły i gwałtu.

* * *

Objawy „skrzykiwania się" tego obozu mają poza demaskowaniem fałszywych demokratów i tę dobrą stronę, że wywołują kontrmobilizację. Najbardziej efektownym jej objawem było pamiętne wielko-czwartkowe posiedzenie Izby Gmin, na którem w obronie prawa i wolności, a przeciw reżimowi hitlerowskiemu, zgodnie podnosili głos socjaliści angielscy Wedgwood i Atllee, liberałowie — Herbert Samuel i Nathan i konserwatyści — Chamberlain i Churchill. Przebieg tych obrad miał dla nas w Polsce jeszcze i tę wiele znaczącą wymowę, że całokształt zagadnienia bytu Polski odrodzonej znalazł się po jednej stronie z obrońcami wolności piętnującymi gwałty. Kto tej wymowy faktów nie słyszy, jest głuchy z własnej woli, lub porażony na umyśle.

Wraz z naszym nacjonalizmem ognistego języka rzeczywistości nie widzi i nie słyszy nacjonalizm niemiecki.

Jedyny, jak dotychczas, zachowujący cień ludzkiej przyzwoitości dziennik berliński *„Vossische Zeitung"*, zdając sprawę z debaty Izby Gmin, która ogłuszyła barbarzyńców berlińskich, czuje się zakłopotany i nie wie, jak się pocieszyć. Z naiwnością u staruszki „ciotki Voss" zupełnie niedopuszczalną rozumuje mniej więcej tak: ci Anglicy jeszcze niedawno mieli wielkie zrozumienie dla Niemiec, teraz nagle wpadli w frankofilję, ale to przejdzie im, chyba, tak samo prędko, jak przyszło. Byle tylko przystąpiono w Niemczech do konstrukcyjnej pracy twórczej, a dzisiejsza debata w Izbie Gmin, pod której głębokiem wrażeniem parlament i opinja idą na wypoczynek świąteczny, stanie się — kończy „Vossische Zeitung" swój wywód — „nic nie znaczącym epizodem".



Otóż to! *„Vossische Zeitung"* albo nie rozumie, albo udaje, że nie rozumie, iż hitleryzm i tak zwana „konstruktive Aufbau — arbeit" — to pojęcie, które nie dają się połączyć.

Każdy nowy dzień nowe tego daje dowody. O jakiej „pracy konstrukcyjnej" ma być mowa? Do wyrzuconych z adwokatury i sądownictwa, szanownych i czcigodnych prawników, za którymi i *„Vossische Zeitung"* skromnie uroniła parę łez, przybywa teraz kwiat profesury niemieckiej, na którą padły już proskrypcje z Brunatnego Domu. Rozpocznie się wielki exodus z wszechnic tak, jak poprzednio z teatrów, muzeów i akademji.

Zakres twórczości hitleryzmu jest ściśle określony w wielkiej księdze jej wodza „Mein Kampf". Trzeba od czasu do czasu przypominać, co się tam mieści i co przybywa do tych „spiżowych tablic". Istotnie jest nowy wynalazek: podział studentów na hufce z „wodzami" (führerami) na czele. A z dawnych wskazań warto przypomnieć hymn pochwalny na cześć boksu, który Hitler stawia nawet wyżej od walki na rapiery, bo spór rozstrzygnięty pięścią, zasługuje, jego zdaniem, na uznanie.

A w innym ustępie tegoż „Mein Kampf" (wydanie 1932 r.) „wielki kanclerz" propaguje krótkie sportowe spodnie dla młodzieży na lato, bo ten, „który spaceruje w długich spodniach, zapięty do szyi, traci przez samo ubranie zachętę do doskonalenia się fizycznego".

Czy do tego głupstwa dodawać jeszcze ciąg dalszy aforyzmu, z którego wynika, że właśnie przez modę, zasłaniającą ciało, Żydówki uwodzą i zniepprawiają setki tysięcy młodzieńców aryjskich!

Cytaty te wskazują, dokąd może dążyć twórczość pod takim „wodzem".

Twórczość ta budzi w jednym tylko obozie nie-niemieckim (poza granicami Włoch i Polski) zachwyt: wśród carystycznej emigracji rosyjskiej. Poza prasą faszystowską, bijącą pokłony dla Göringa, tylko w różnych „Naszych Wiekach" i „Wozrożdienjach" można się naczytać jednym tchem — o cudzie odrodzenia narodowego i o rewizji traktatów, aż do status quo anno 1914, bo wtedy żył i panował car.

28 organizacji emigrantów rosyjskich w Niemczech z baronem Osten-Sackenem na czele, wręczyło kanclerzowi Hitlerowi adres hołdowniczy.

Ciekawe, czy to ten sam bar. Osten-Sacken, który był szefem ochrany w Dumie Państwowej i został po rewolucji 1917 r. zdemaskowany i usunięty z urzędu.

Sojusznicy godni siebie nawzajem.

* * *

Dwie republiki demokratyczne Francja i Hiszpanja święcą w dziedzinie mało teraz cenionej — mianowicie oświaty — wielki tryumf. Izba deputowanych uchwaliła ustawę o bezpłatnem nauczaniu w szkole średniej.

Kortezy hiszpańskie na drugą rocznicę zwycięstwa rewolucji przygotowały ustawę o powszechnem nauczaniu. W ciągu 8 lat stworzy się w republice Hiszpańskiej — 20.000 nowych szkół! Dodajmy, że w ciągu pierwszych 2 lat istnienia republika otworzyła tych szkół 7000 w 1931 r., a 3000 w 1932 r. Za 8 lat nie będzie analfabetów w Hiszpanji (chyba pośród najstarszych). Oto twórcza praca pod znakiem wolności. Cóż jej może przeciwstawić Hitler i jego sojusznicy?— Krótkie spodnie dla smarkaczy, bijących się na kułaki i tysiące Żydów pobitych, lub zrujnowanych i wypędzonych z kraju.

St. Gr.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marja Janowa Kasprowiczowa: Dziennik. Część III: Bunt (1922—1924). Część IV: Pojednanie (1924 — 1926). Wydawnictwo Domu Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus): Interregnum. Powieść historyczna. Dom Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Lucjan André: Szlakiem niepodległości. Z przedmową Pawła Hulki-Laskowskiego. Warszawa 1933.

Stanisław Kasztelowicz: Tragicy doby bez kształtu. O współczesnej twórczości literackiej. Skład główny Gebethner i Wolff. Warszawa — Kraków 1933.

Wacław Hordysz: Lekarz niebieski. Poezje. Skład główny Instytutu Wydawn. „Bibljoteka Polska". Warszawa 1933.

Tadeusz Meyerhold: Pajęczyny. Poezje. Warszawa 1933.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Leonowi K. w Kutnie. Znajdzie Pan w broszurze Andrzeja Niemojewskiego, wydanej w r. 1906-tym p. t. „O masonerji i masonach". Czytamy tam na str. 83-ciej: „Nazwiska, które opromieniły w ciągu dwóch wieków naszą historję, należą do spisów wolnomularskich. Oto bohater książę Józef Poniatowski. Oto sławny wódz Henryk Dąbrowski. Oto jeneralicja: Kniaziewicz, Umiński, Prądzyński. Oto wieloletni minister oświaty Stanisław Potocki. Oto literaci Osiński, Niemcewicz, Kniaziewicz, Minasowicz, Brodziński. Oto całe szeregi profesorów, mężów stanu, oficerów, obywateli. Oto najprzedniejsze rody: Potockich, Jabłonowskich, Rzewuskich, Lubomirskich, Kossakowskich, Skarbków, Mycielskich, Bnińskich, Tarnowskich, dzisiejsze ostoje reakcji i klerykalizmu, przodują niepodległą myślą, walczą z supremacją dogmatu nad rozumem, budują naród".

Panu Zdzisławowi M. w Radomiu. Nie należy narzekać na „zatęchłą atmosferę prowincji". Dzieje się tam dużo dobrych, pięknych rzeczy, a nawet stwierdzić można, że na tej wyklinanej prowincji różne instytucje i różne grupy obywateli ujawniają więcej świetnego entuzjazmu w pracy społecznej, niż w stolicy. Niech Pan dobrze rozejrzy się w swoim Radomiu, znajdzie Pan tam sporo okazji do pożytecznej pracy i niejednego dzielnego człowieka. Wyniosłość Warszawy wobec prowincji jest coraz mniej uzasadniona.

Panu St. L. Z. w Poznaniu. „Poradnik dla samouków", wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Jest to jedno z najznakomitszych tego rodzaju wydawnictw na świecie.

Pani Janinie Ch. w Przemyślu. Będziemy o tem pisali w „Epoce".

Panu Ignacemu L. w Sosnowcu. Ze świstkami sensacyjnemi nie konkurujemy.

Panu Henrykowi W. w Warszawie. Nie do druku. Nie można wciąż odkrywać Ameryki. Myli się Pan, sądząc, że to „oryginalny" projekt. Pisano już o tem tyle razy! Jeżeli Pan pozna literaturę tej dziedziny, przekona się Pan, że nic nowego w rozprawie Pańskiej niema.

Pani Stefanji B. w Dąbrowie Górniczej. Przesłodzone, przecukrzone. Nie należy tak pisać. To nie wzrusza, ale mdli.

Panu Mieczysławoi N. w Łodzi. Zgóry wiadomo, że wszystko przeinaczą, przekręcą, sfałszują. Trzeba robić swoje i nie przerażać się tego rodzaju atakami. Prelegenci, działacze społeczni, publiści, muszą mieć mocne nerwy.

Panu d-rowi A. Niedźwiedzińskiemu we Lwowie. Zamieścimy.

Pani B. O. Artykuł p. t. „Na drodze ku wielkiej przemianie" nie nadaje się do „Epoki". Rozważania te są zbyt popularne.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-271 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.